16. Lutego. r. 1822.

WANDA

Nr: 7.

TYGODNIK POLSKI.

Anakreontyk.

z Francuzkiego.

Ah! oszczędzaj starca siły,
Dziewczę! co masz oczy ładne;
Niepowiadaj, żem ci miły,
Bo do nóg twoich upadnę.

Niestety! wyznać ci muszę,
Że choć mam ognistą duszę,
Szósty mi krzyżyk przybywa
I włos się srebrem okrywa.
Minął kochania wiek błogi,
Wiek nieznający kłopotu!
Jakże mię zelżył czas srogi!
Twarz mam w zmarszczkach, oczy w dole,
I tak mi wyrył na czole
Rozkaz dzienny do odwrotu.

Gdym się z roskoszą już żegnał,
Złośliwy Bożek kochania
Do mądrości mię odegnał.
Cóż mu śmiertelny uczyni?
Gdy mię tak z hańbą odgania,
Muszę nieść hołdy Bogini.

Lecz był starzec Gracjom luby,
Anakreon, czas ukrócił.
On z miłości szukał chluby
I piękności himny nucił,
Roskosz mu nad życie miła,
Roskosz mu życie słodziła.
Horacy w końcu swej mety
Kochał także piękność młodą
Lalage Bóstwo poety,
Miłości była nagrodą.
I któż z nas zapomnieć może
O Tytonie i Aurorze,
To prawda że w dziejach ludów
Skąpo było takich cudów.
Lecz się może jeszcze zjawi,
Może niebianie łaskawi
Dla nas zrobią rzecz łatwiejszą,
Boś ty sto razy piękniejszą
Niżeli owa niebianka,
Ja młodszym od jej kochanka.

Ah! oszczędzaj starca siły
  Dziéwczę co masz oczy ładne,
Niepowiadaj, żem ci miły
  Bo do nóg twoich upadnę.

Wprzód mi Amorek przyjemnie
Mnogie dawał polecenia;
Dwudziestu niosłem westchnienia,
Tysiąc się kochało wemnie.
Epoko pamiętnej chwały!
Szczęśliwy wieku młodzieńczy,
Skutek każdą myśl twą wieńczy;
Kochany lubo niestały,
Wówczas gdy zwyciężać chciałem
Dzień walki sam naznaczałem.

Korynna była mi stała,
I Emma wzdychała do mnie,
Laura jak wdzięcznie, jak skromnie
Miłość mi swoją wyznała.
Chloe! lubiłem twą tkliwość,
Adelo! twoją pustotę,
Emilji płochość i żywość,
Anieli skromną prostotę.
I ciebie Ewo z zapałem
J.k Boginią ubóstwiałem,
To płochy, to znowu tkliwy,
Bywałem z tobą szczęśliwy.

Luby gaju! ileż razy
Pod twym opiekuńczym cieniem
Miłośne Nidy wyrazy
Nagradzałem uściśnieniem,
Twe schronienie tajemnicze
Kryło kochanków słodycze,
Ich żarty, igraszki, śmiechy,
Słowa, westchnienia, uciechy;
A pieszczoty i uściski
Zdradzały żem szczęścia bliski.
Aby mnie pokłócić z inną
Nida przez chytrość niewinną,
Tu mnie szczęśliwym czyniła;
A nagrodę moja miła
Biorąc na słuszności szalki,
Rozpacz i łzy swej rywalki
Względami swemi płaciła.

O czasie! jak smutne zmiany
Zaprowadzasz skrzydły twemi,
Wprzód szczęśliwy i kochany,
Dziś się już schylam ku ziemi.
Cóż ludziom po twoim darze,
Włos pobielasz, orzesz twarze.
I uściski i gaiki
Wszystko pochłonął czas dziki.

Która dziś mnie kochać raczy
Już rywalki nieobaczy.

Czas, by mi życie zakrwawił,
Starość mi wyrył na twarzy
A młodość w sercu zostawił.
Jeszcze się w niem ogień żarzy,
Czuję serdeczne płomienie,
A od miłości nie wolny
I podobać się nie zdolny,
Drżę na kochanki wspomnienie.

Ah! Dziewico! nie bądź srogą!
Oddal się nie dręcz mnie marnie,
Wszystkie Tantala męczarnie
Dziś się dla mnie wznowić mogą.

Ah! oszczędzaj starca siły,
Dziewczę co masz oczy ładne,
Niepowiadaj żem ci miły,
Bo do nóg twoich upadnę.

Br. Hr. Kiciński.

Żywcem pogrzebany.

Powieść prawdziwa.

Długo mnie dręczyła wycięczająca febra; siły moje co dzień bardziej nikły, jednakże lubo nie tak osłabiony że na łóżku ruszyć się niemogłem, przecież jeszcze miałem mocne uczucie życia. Wyczytałem w oczach lekarza, że o mojem uzdrowieniu powątpiewał, a cichy smutek przyjaciół przekonywał mnie, że niema żadnej nadziei. Pewnego dnia nad wieczorem zaszła kryzys w mej chorobie. Przejął mnie dreszcz nadzwyczajny i niepojęty. Szumiało mi coś w uszach jakby szmer dalekiego strumienia. Nieprzeliczone obce postacie wznosiły się nad mojem łóżkiem. Zdawało mi się że były lekkie i że jaśniały nad przyrodzonym blaskiem. Uroczyste milczenie panowało w około. Chciałem się podnieść, ale nie mogłem. Przez krótki przeciąg czasu czułem okropny zawrót głowy, co gdy przeszło, odzyskałem pamięć i przytomność, ale wpadłem w większą jeszcze niemoc. Słyszałem płacz i łkania przy moim łożu; a głos znajomy wyraźnie mi rzekł: już umarł.

Niepodobna opisać wzruszenia jakiem doznał usłyszawszy te słowa. Natężyłem wszystkie siły

ażeby się poruszyć na łóżku, niemiałem nawet tyle mocy aby mrugnąć na nich. Po krótkiem milczeniu najszczerszy mój przyjaciel przystąpił bliżej do mego łóżka, i najgłębszym żalem zdjęty własną ręką zamknął mi powieki. Tak więc już i widok świata był mi wzbroniony; ale jeszcze został mi słuch, czucie i boleść. Mając oczy zamknięte, usłyszałem od ludzi mnie otaczających, że mój przyjaciel wyszedł, i że trzeba będzie oblec mnie w szaty śmiertelne. Obojętność służących dotkliwszą mi jeszcze była nad żal przyjaciela. Smieli się w głos przewracając mnie na łóżku i ubierając do grobu, a z mniemanego trupa żartowali niegodnie. Ubrawszy mię podług zwyczaju, położyli mię na łóżku. Przez całe trzy dni odwiedzali mnie przyjaciele, słyszałem jak po cichu szeptali do siebie, wielu nawet dotykało się mego ciała. Trzeciego dnia pasierbica moja rzekła głośno, że czuć w pokoju zgniliznę. Przyniesiono trumnę, czterech ludzi porwało mnie z łóżka, włożyło w nią. Przyjaciel mój podłożył mi poduszkę pod głowę, a łzy jego skropiły mi twarz. Gdy wszyscy których nieco więcej obchodziłem, napatrzyli się zwłokom moim, odeszli. Przyszli służący i zaśrubowali wieko. Było ich dwóch, jeden przed dokończeniem roboty musiał odejść. Usłyszałem jak pozostały gwizdał sobie zakręca-

jąc śroby, później jednak przestał, i w milczeniu dokończył pracy. Zostałem sam w izbie od której każdy uciekał. Wiedziałem jednak że jeszcze nie byłem pochowany; i lubom leżał w ciemności i nieporuszony, przecież jeszcze miałem nadzieję; ale i to nie nadługo. Nadszedł nakoniec dzień pogrzebu; czułem jak podnoszono zemną trumnę, jak ją dzwigano z pokoju, słyszałem jak mnie kładziono na karawan. Tłum ludzi stał wokoło, niektórzy ubolewali nademną. Wóz ruszył na cmentarz. Wiedziałem dobrze że już mnie wiozą do grobu. Stanął wrescie, zdjęto trumnę, pokołysaniu się jej przekonany byłem że ją ludzie nieśli na ramieniu. Nastąpiło długie milczenie, usłyszałem smutny śpiew xięży, odgłos dzwonów na cmentarzu a na koniec mowę pogrzebową której dobrze dosłyszeć niemogłem. Poczem poczułem skrzypnięcie liny grobowej o trumnę. Spuszczano mnie po niej powoli, nakoniec trumna uderzyła o sam spodek grobu a postronki spadły na wieko.

Czyniłem najgwałtowniejsze usiłowania ażeby się poruszyć w trumnie, i tym sposobem przekonać otaczających, że jeszcze żyję; ale i tą razą na próżno, siły moje były zupełnie wycieńczone. Niezadługo potem rzucono kilka garści ziemi na trumnę, po czem znowu długie trwało milczenie. Raptem kilku ludzi porwało się do szufli, a jak

by piorun przerażający, spadała ziemia z góry. Nieszczęśliwy. Jeszcze się poruszyć niemogłem. Zwolna uciszał się łoskot. Dorozumiałem się iż grób już był zasypany i tylko tego jeszcze dosłyszeć się mogłem jak grabarz deptał na nim ziemię i jak ją na wierzchu szpadlem ubijał. Wkrótce i to przestało, i zupełna nastąpiła cichość.

Niemiałem żadnego sposobu poznawania postępu czasu. Milczenie grobowe trwało nie przerwanie. „Takaż to jest śmierć? pomyślałem sobie takżeżto będę czekał aż do zmartwychwstania. Za kilka dni ciało moje gnić zacznie, robak dobijać się będzie do tej uczty z taką starannością dla niego przysposabianej.“ Zatopiony w tak okropnych myślach, usłyszałem posępny szmer na ziemi nad moim grobem. Zdawało mi się że krety lub szczury podziemne szturmują do mojej trumny. Tymczasem szmer przybliżas się coraz bardziej. „Kto wie pomyślałem sobie może przyjaciołom moim przyszło na myśl, że mnie żywego w letargu pogrzebali.“ Ta nadzieja jak by promień szczęścia zajaśniała w ciemności grobu mojego.

Szmer ustał nakoniec. W tem niespodzianie porwała mnie silna ręka, i za głowę z trumny wywlekła. Swieże powietrze mile mnie owiało, ale zimno było dokuczliwe. Ciągniono mnie prędko przez kawał drogi, zdawało mi się że mnie pro-

wadzą do sądu, a może i na potępienie. Ale nietak się stało jakiem rozumiał. Ciśnięto mnie na jakieś drewno, bo wiem, że nie na ziemię. Poznałem po chwili, żem leżał na wozie, a z kilku słów które się o uszy moje obiły, domyśliłem się że jestem w ręku ludzi wykradających umarłych. Jeden z nich śpiewał sóbie nieprzystojne piosnki tymczasem wuz turkotał po bruku. Gdy się zatrzymał zniesiono mnie z wozu. Z cieplejszego powietrza dorozumiałem się że jestem w izbie. Zdarto ze mnie gwałtem grobową koszulę, i nagi zostałem w pokoju. Z rozmowy służących dosłyszałem się że jeszcze tejże samej nocy w części pokrajany być mam.

Oczy moje dotąd były zamknięte, nic więc niewidziałem. Po zgiełku w pokoju mogłem się był domyśleć, iż przychodzą Akademicy uczęszczający na anatomją. Niektórzy z nich przystąpili do stolika, przypatrywali się moim rysom z największą bacznością; cieszyli się że w krótce nadejdzie Professor i operacją rozpocznie. Jakoż w samej rzeczy nadszedł niezadługo. Nim przystąpił do swego dzieła, oświadczył iż myśli wprzód rozpocząć doświadczenia galwaniczne; kilku uczniów pobiegło więc natychmiast po apparat. Gdy mi pierwsza iskra przeszła po wszystkich żyłach, zadrżały, wydając dźwięk podobny do strony od arfy.

Uczniowie niemało się zdumieli nad tem konwulsyjnem drgnieniem. Za drugiem dotknięciem otwarły mi się oczy, a pierwszą osobę która mi wpadła w oczy był doktór co mię przez cały ciąg choroby doglądał. Mimo tego jeszcze leżałem jakby nieżywy, lubo poznałem kilku Akademików z któremi byłem w zażyłości. Wielu z nich głośno powtarzało moje imię, z wyrazem przestrachu i politowania, oświadczali, iż byliby woleli mieć do operacji inną osobę. Po skończonych doświadczeniach galwanicznych, Professor anatomji wziął do ręki nóż, i lekko samem końcem zakłuł mię w piersi. Doznałem takiego uczucia jakby się coś we mnie rozpękło, wstrząsłem się natychmiast, a wszyscy przytomni wydali okrzyk przestrachu. Tym samem znikł ciężar lodowaty przyciskający mię do grobu; i skończył się sen mój śmiertelny. Dołożono wszelkich starań aby mię otrzeźwić, w niespełna godzinę odzyskałem przytomność, a w krótce i zdrowie.

Pięć Bajek Pana Mollevaux.

Przez Brunona Hr: Kicińskiego.

UŁUDZENIE MIŁOŚCI.

Unosi się Jan młody nad wdziękiem Minwany,
Jaka piękność zawoła, jak czarowne oczy,
Postać i kibić składna, i uśmiech uroczy,
Minwana nie jest piękną, lecz Jan zakochąny.

LIS.

Myśląc że go na starość śmierć już wkrótce spotka,
Lis frant wielki ze skruchy pościł jak dewotka,
Żadne przecież kurczątko nie wierzy tej zmianie.
Bo któż złą reputacją naprawić jest w stanie.

MOC DOBROCZYNNOŚCI.

Boleść omdlewające podnosiła czoło,
Promień szczęścia w jej oczach zajaśniał wesoło.
„Jakaż — pyta się radość — przyczyna twej zmianie"
„Dobroczynnością biednych zagoiłam rany."

ŚPILKA.

Pełniąc powinność stróża przywiązana śpilka,
Pilnowała i wstążek i sukienek kilka.
Zgięła się, zapomniano o niej niezadługo.
Tak i ciebie zapomną stary, wierny sługo!

WDZIĘKI BRZYDKIEJ.

Powiedzże mi Tomaszu! cóż tak głośno wzdychasz?
Czyliż ku brzydkiej Emmie z pragnienia usychasz,
W czem ci się twej miłości cel zdaje tak wdzięczny,
Cóż ci się w niej podoba! Posag stotysięczny.

Stałość Mężczyzn.

Powieść z czasów Czarodziejskich.

Poranna zorza szczyt góry rumieni,
Siedli rycerze na rżące rumaki,
Trąbka myśliwska zabrzmiała w przestrzeni,
Liczne psów sfory rozbiegły się w krzaki,
A przesadzając i płoty i rowy
Dzielni Rycerze spieszą się na łowy.

Lecą w gęstwinę, ni krzaki, ni czernie,
Nic ich nie wstrzyma w wesołym zapędzie,
Psów wycia, tropu pilnując się wiernie,
Pędzą o zakład kto pierwszy przybędzie,
Grot świszcze, słychać wesołe okrzyki,
Legły nie jedne rogacze i dziki.

I dalej spieszy niecofniona rzesza,
Rumak pod każdym ze znużenia parska,
Spłoszony orzeł w obłokach się wiesza,
Jeszcze zdobyczy szuka młodzież dziarska.
Wreszcie myśliwską uniesieni żądzą,
W lasach bez końca gubią się i błądzą.

W tym zdala z kniei słychać głos pieszczony,
Jakoby fletów melodyjne tony;
W różową barwę powlekły się gaje,
I każde drzewo zapach różany daje,
A gdy już wszystko postać dawną straci,
Lekkie z obłoków zstępują postaci.

Cóż to jaśnieje w lazurowem niebie?
Cóż się kołysze wiosiennym powiewem?
Czarowne Bóstwo! Ah! wszakże to ciebie
Witają duchy nadpowietrznym śpiewem;
Tylfów tysiące skrzydłami lekkiemi
Wóz jaśniejący schylają ku ziemi.

Bogini czarów, patrzy się surowo,
I do myśliwych takie rzeknie słowo:
Bez pozwolenia myśliwcy zuchwali
Czemuście w moich lasach polowali!
Temu ta wolność tylko zostawiona;
Kto jeszcze dzieła większego dokona.

Kto chce bezkarnie moją zwiedzać knieję
Niech zerwie jabłko które tam jaśnieje,
Na owem drzewie błyszczy jabłko złote
Posiadające osobliwszą cnotę,
Zerwą go łatwo ci co wierni byli,
Ale niestałych przemienię w motyli.

Stałość w kochaniu przekonają próbą;
Każdy z nich drżący sobie przypomina,
Jak często zdradzał swą kochankę lubą,
I chęć zdobyczy i łowy przeklina.
Bo gdy się jabłka złotego dotyka,
Zaraz się zmienia w motyla i znika.

Jeden się tylko został z całej rzeszy,
O swej wierności mocno przekonany,
Z radością w sercu do drzewa się śpieszy,
Pewny wolności, bezpieczny od zmiany,
Rwie jabłko złote z cudownego drzewa,
I swą stałością Królowę zdumiewa.

Kląkł przed Boginią odzyskać swobodę,
Ogniem miłości oczy zajaśniały,
Urokiem bóstwa błyszczą wdzięki młode,
Rzekła z uśmiechem Rycerzu wspaniały:
Zrzecz się kochanki, będę twoją żoną,
Jak Króla czarów uwieńczę koroną.

Zdumiał się młodzian; ogniste wejrzenie
W których przegląda dusza upojona,
Zdradza miłosne rycerza wzruszenie,
Już chce Boginię przycisnąć do łona;
Lecz dumnym wzrokiem Bogini rzuciła,
I niestałego w motyla zmieniła.

PRZYCINKI.

Wątpliwość.

Mówiłaś mi żeś młoda i powiadasz znowu,
Może to prawda, lecz wyznam ci szczerze,
Że niewiem teraz komu już uwierzę,
Czy twoim zmarszczkom, czy słowu.